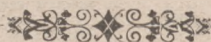


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Kosarz.

KOSARZ.

(Ustęp z poematu *Deotymy*).

W bałwanach zieleni, co szumią na łące,
Przez tuman balsamu i rosy,
Jak wiosła stu łodzi, pod wodą iskrzące,
Wpół lecąc suwają się kosy.

* * *

Splószone w gęstwinie mkną tęcze motyli...
Niekiedy kobiety i męże,
Stanąwszy w półkole, jak gdyby w dzwon bili,
Tak ostrzą swe sielskie oręże.

* * *

W zachodzie już święte ognisko gasnące,
Pożłaca obłoczne ołtarze;
Już echa swych chórów rozsiawszy po łące,
Odchodzą do chat swych kosarze.

BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez *Maryą Świdorską*.

(Dalszy ciąg).

XIII. Janek posłem. — Co to Kałga a co Nuredyn? — Obielnica.
— Gościna w Karasubazarze.

Prawda, że zarówno na Kałgę, jak i na Nuredyna, wybierano tylko członków panującej rodziny Girejów, ale nasz Edyga, przez żonę z rodem panującym spokrewniony, spodziewał się, że dostanie tę godność, byle kto zręcznie potrafił około sprawy pochodzić i podarki jego dla hana i przybocznych urzędników tegoż ofiarować w dobry sposób.

Owoż okazało się, że niewiadomo czemu Edyga bey mnie właśnie przeznaczył na posła do hana i dał mi do zrozumienia, że się mogę spodziewać wielkich nagród, jeżeli się poselstwo moje powiedzie. Kto wie, może nawet zechciałby mnie mianować swoim wezyrem, bo trzeba wiedzieć, że nietylko Han i Kałga, ale nawet Nuredyn w Krymie ma swój dwór i swego przybocznego wezyra. Widząc jednak, że te obietnice nie czynią na mnie zbyt wielkiej impresyi, dodał, że jeżeli mi się będzie podobało, to po wyjednaniu mu pożądaney godności, mogę sobie iść gdzie zechcę, choćby i do „psów niewiernych”, tak Tatarzy nas chrześcijan nazywają.

Kiedy to Tatar wymówił powoli i bełkocąc językiem, jak zwykle, czułem, że mi krew do głowy

uderza, skłoniłem się i odrzekłem, że za taką cenę, gotów nawet w morze skoczyć albo w ogień. Oburzony tym moim uporem Tatarzyn, raczył mi jeszcze tłómaczyć, że jestem ostatnim głupcem, chcąc porzucić dwór jego, gdzie mnie bogactwa i dostojęństwa czekają; w końcu jednak obiecał, świadcząc się Koranem, że otrzymam wolność, jeżeli tylko dobrze się sprawię i przywiozę od Hana pomyślną odpowiedź.

Nie było co robić; musiałem się sposobić do drogi, naradzając się po cichu z ojcem Hyacyntem, który dotąd w jasyrze pozostawał. Wreszcie otrzymawszy jego błogosławieństwo, przystrojony niby z turecka w suty kaftan karmazynowy, żółte buty, z ataganem (krzywym mieczem) u pasa i w baraniej wysokości czapce, wyruszyłem w drogę. Za mną szły suto obładowane wielbłądy i kilkunastu zbrojnych Tatarów, z których jeden osobliwie, niby stróż, na krok mnie nie odstępował. Miałem też przy sobie chłopaczka lat 10-u może, któregom od Edygi wyprosił, niby do posługi, bom go wielce polubił. Jasnowłosy był, jak nasz Staszek i także gdzieś ze szlacheckiego dworu perwany, a Leszko mu było na imię.

Tak tedy zbrojno i dworno jechałem przez Krym, niby wielki pan jaki i niedługo stanęliśmy w *Karasubazarze* na pół drogi z Kaffy do Baczysaraju. Tam mieszkał Kałga, co miał osobne księstwo i dwór cały, a nawet radę na wzór hańskiego dywanu, z której pomocą sądził różne sprawy (tylko wyroku śmierci nie mógł wydawać i musiał się z tém odnosić do hana). Zresztą Kałga miał najwyższą władzę nad wojskiem, brał znaczną pensyą i część podatków dla siebie, a w razie śmierci Hana, tak zarządzał państwem, jak to u nas książę Prymas. Kałga także był wybierany z rodu Girejów, a wybór przez hana dokonany szedł po potwierdzenie do sułtana w Carogrodzie, z kąd też przysyłano dla nowego Kałgi honorowe futra i 2,000 cekinów w podarku.

Gościliśmy trzy dni u Kałgi, przed którym musiałem na twarz padać, według podłego obyczaju wschodniego; zostawiłem mu sporo podarków rozmaitych, najadłem się baraniny z ryżem, popijając kobyłem mlekiem, czyli kumysem i dalej w drogę, do Baczysaraju, hańskiej stolicy w Krymie.

IX. Baczysaraj. — Dwór hański. — Mengli Giréj. — Kto się nudzić zaczyna.

— Ciekawym też — ozwał się Jurek — jaka to może być stolica takiego barbarzyńcy? to chyba szopa z gałęzi sklecona.

— Ale gdzietam — odparł Janek — Tatarzy na Krymie wcale niepodobni do tego, czém da-

wniej byli. Han mieszka w pałacu z kamienia, marmurem zdobionym, meczety tam błyszczą od złota, rozmaite przyprawy i korzenie ze Wschodu sprowadzają sobie carzyki tatarskie i naśladowa, jak mogą, sultana ze Stambułu, który nad nimi ma zwierzchnictwo. Kiedy Han pojedzie do Carogrodu, to mu nawet wolno siedzieć w przytomności Sultana i pić z nim kawę, a w mieście przyjmują go i witają, jakby prawdziwego monarchę. A co podarunków mu niosą, to strach!

Jużto na Wschodzie taki zwyczaj, że bez podarku ani przystępuj do nikogo; i tak: lud znosi upominki urzędnikom i władzom, sultan rozdaje podwładnym i znów od nich bierze. Tatarzy, co się niby cywilizują na sposób turecki, przyjęli od nich te zwyczaje. Han tatarski ma znaczny dochód, bierze bowiem różne cła od towarów na półwysep przywożonych, podatki rozmaite, jak „charadz” (pogłówny) „gieszyd” (drogowe) i inne. A jakie sobie tytuły nadaje Han; zowie się cesarzem tatarskim, czerkieskim i dagestańskim; używa też pieczęci ze swoim imieniem i herbem urzędowym „tamga”. Przywileje od hana dawane zowią tam „jarłyki”.

— A jakże wygląda pani Hanowa czy Hanica? — pytał żartobliwie Juraś.

— Jest ich tam bardzo dużo, bo Han ma żon kilkadziesiąt czasami, niewolnic z Grecyi i Czerkiesyi. Dzieci hańskie wszystkie noszą tytuł sultanów i sultanek, mieszkają w pięknych dworach, córki dostają duży posag. Taką właśnie sultanką była żona mego Edygi beya najstarsza, a miał ich także z piętnaście. Kiedy o zachodzie słońca wjeżdżałem z moim taborem do Bakczysaraju, wspaniale się z daleka pokazywało to miasto, pod górą leżące, a rzeka Czu-rak-gu, jak gdyby się paliła od złocisto czerwonych promieni. Zajechaliśmy do gospody, którą był wskazał Edyga bey, a ludzie wygodne znaleźli pomieszczenie, równie jak wielbłądy. Nazajutrz zaraz słałem podarki wezyrowi i innym urzędnikom hańskiego dworu, a były to bursztynowe cybuchy, futra piękne, puzderka misternie rzezane ze srebra i perłowej konchy, albo puhary złociste. Poznałem tam niejedno z naszej ojczyzny złupione i pamiętam jeszcze piękną delią sobolową, z plamą krwi na boku, którą znać było na purpurowym adamaszku. Były i naczynia kościelne i cerkiewne, a mnie się zdawało, że ręce sobie plamię, jak gdybym się przyczyniał do tej bezecnej grabieży, i pilno mi było wylecieć ptakiem z tej pogańskiej krainy, daleko, daleko, do swoich!

Tymczasem po trzech dniach pozwolono mi się jawić na dworze hańskim i znów nabrałem podarków co najkosztowniejszych, które za mną

dźwigał Leszek, przybrany w niebieski, srebrem lamowany kaftan. Podobał się ten strój chłopczy nie i musiałem mu długo tłómaczyć, jaki to wstyd dla nas, synów polskiej ziemi, przebierać się, jak niewierni poganie.

Han siedział na kobiercu, a w koło stał cały dwór jego, prócz Muftego, czyli głowy duchowieństwa, który siedział niedaleko hana; byli tam *) koniuszy hański, sędzia najwyższy, podskarbi, łowczy, marszałek, sekretarz dywanu, czyli rady wielkiej i inni. Musiałem znów nosem dotknąć ziemi i złożyć moje podarki. Sam han do mnie przemówił, pytając o Edygę. Odrzekłem słów kilka, poczem mnie wyprowadzono do izby marszałka, gdzie podano kawę i słodkie konfitury rozmaite, oraz wręczono mi futro piękne, dar od hana. Marszałek pytał, zkąd jestem, bo po rysach widział, że nie Tatar i powiedział, że mogę znaleźć służbę na dworze hańskim. Pierwszy raz byłem zmuszony zataić, że jestem chrześcijaninem, żeby nie zaszkodzić sprawie Edygi beya, ale ten poniewolny fałsz ciężył mi srodze na sumieniu i obiecałem sobie zań odpokutować potem.

— Czy to prawda — pytał ciekawy Juraś — co mówią o Mengli Gireju, hanie tatarskim, że strasznie ma być mądry?

— Dzielnym to i potężnym władcą **) a historią jego opowiadał mi właśnie sekretarz dywanu, dlatego ją tu pokrótce powtórzyć mogę. Azi Giréj, podobno wnuk Tochtamysza, urodził się w Trokach na Litwie, w niewoli Witoldowej i za wsparciem księcia tego dostał się na tron Krymski; zawsze też okazywał się wiernym sprzymierzeńcem Litwy, bił Mongołów, z za Wołgi się pojawiających. Ten to Azi Giréj był prawdziwym założycielem państwa i potęgi Krymu. Umierając (około 1470 r.) zostawił sześciu synów, ale najdzielniejszy z nich, Mengli Giréj, powypędzał braci i sam został władcą. Na biedę naszą jeden z tych braci, najstarszy, szukał schronienia w naszej Rzeczypospolitej, a odtąd Mengli Giréj związał się przymierzem nie z nami, ale z księciem Mo-

*) Do osiągnięcia tej godności t. j. Muftego, sędziego i sekretarza dywanu, trzeba było znać prawa i zwyczaj narodowy; zresztą na wszystkie inne żadnej nie wymagano nauki, tylko pochodzenia ze szlachty, czyli „Murzów”. Ci nad urzędy nadworne przekładali godność „seraskierów” czyli wodzów nad hordami nobajskimi, a takich było trzech, co niby książęta rządzą i znaczny brali podatek dla siebie.

**) Z tym Mengli Girejem nieraz się układał król Zygmunt Stary i nawet mu obiecał coroczne dawć podarki, byle rozbójnicze hordy Tatarów powstrzymywał od najazdów na Polskę; ale gdy chytry Tatarzyn podarki brał a napadów na ziemię naszą pohamować nie chciał, czy nie umiał, ugody te się zrywały.

skwy. Dużo przeszedł rozmaitych kolei, to wypędzany z tronu, to znów wraca, wreszcie poszukał wsparcia w Carogrodzie i poddał się pod zwierzchnictwo Sultana czyli Pady szacha tureckiego.

Teraz już Sultán ma prawo wybierać Hana dla Krymu, byle z rodziny Girejów i niby uważa się za najwyższego władcę nad Tatarami; ale prawdę powiedziawszy, to się go Mengli Giréj wcale nie lęka i nasłuchiwał się niemało, jak sobie umie radzić w Carogrodzie. Potrafi on usunąć niedogodnego sobie wezyra sułtańskiego i wszystkiego dokaże, co zechce. Niby to on nie ma prawa iść na wojnę bez pozwolenia Turcyi; ale czy tego słucha? gdzie tam! Najwięcej to uczuwa nasza ojczyzna, chociaż wiadomo, że Sultán Soliman wielce miłościwego króla naszego poważa i pokój z nim zachować pragnie. Ale co ja tam prawię a prawię o Tatarach a Girejach, aż wszyscy pozasypiają.

— Jużto zasnąć nie wypada — ozwała się figlarna Halka—ale wolelibyście, panie braciszku, o sobie co powiedzieć, niż o tych seraskierach i muftach, czy jak tam ich zowiecie!

— A jam ciekaw tego wszystkiego — mówił Juraś — może da Bóg niedługo pójdę bić Tatary, to będę wyszukiwał samych murzów, żeby im głowy rozplatać, niech nie udają szlachciców, te bisurmany, co ludzi naszych, jak by było w niewolę pędzą!

X. Nowe sidła na Janka zastawiają. — Amina. — Koniec poselstwa. — Powrót. — Żegluga.

— Nie chcąc już zbyt długo przeciągać opowiadania — mówił Janek — od razu powiedzieć mogę, że mi się sprawa na dworze hańskim udała nad spodziewanie i za mojem pośrednictwem Edyga dostał urząd Nuredyna, którego tak bardzo pożądał. Nim jednak wyruszyłem w drogę z powrotem, jeszcze jedna pokusa stanęła przedemną. Jednego razu, siedziałem właśnie u sekretarza dywanu Timura, który mi miał wydać *jartyk*, czyli przywilej od hana dla Edygi beya z *tuchrą* czyli monogramną splecioną sztucznie z wyrazów na wierzchu. Siedzieliśmy oba na kobiercu, nogi podkurczywszy i kawą popijając a fajki kurząc.

— Aż mi dziwno pomyśleć — ozwała się pani Bohowitynowa — żeś ty, mój synu, z cybuchem i w zawoju, niby pohańca udawał. Bogu dzięki niech będą, że ci serce zacne i nieskalane zostawił, ale wolałabym cię widzieć w owym lochu więziennym, gdzie cię dawniej trzymali, niż tam za pan brat z tymi bisurmanami.

— I mnie, mateńko, strasznie obco i przykro było między nimi, ale kiedym przypomniał sobie,

że tak się przymusiwszy czas krótki, otrzymam wolność i do ojczyzny powrócę, to wszystko znieść lżej było, nawet ten ohydny przymus i fałsz niejako, którym się usta moje plamiły. Do meczetu jednak nie poszedłem ani razu, a w jakieś wielkie święto tatarskie leżałem niby chory całe dwa dni, żeby się od tego wybawić.

Otóż tedy, kiedym siedział u sekretarza hańskiego, ten mi wciąż prawi o wielkiej potędze hana: jak to przed nim noszą pięć buńczuków, to jest o jeden mniej niż przed padyszachem, (czyli sułtanem) jak w meczetach w całej Turcyi modlą się za padyszacha, a potem zaraz za hana, i t.d.; wreszcie po długich omówieniach zapytuje, czym widział sułtanki czyli córy hana w pięknym ogrodzie baczyserajskim. A trzeba wiedzieć, że Tatarzy nie zamykają swoich kobiet w takich haremach, jak Turcy. Edyga bey, jeśli miał u siebie niby harem, to dla tego, że długo w Carogrodzie przebywając w młodych leciech swoich, chciał naśladować tamtejsze zwyczaje.

Córy hana w Baczyseraju widziałem nieraz w czasie krótkiego pobytu mego, a było ich wtedy ze dwadzieścia niezamężnych. Jedna dziwnie gładkiego lica, z czarnymi oczami, trochę do naszej Miry podobna, najpiękniejszą się między nimi wydawała, a obracała się kilkakrotnie i uśmiechała, okazując białe ząbki, gdyśmy obok niej przechodzili w alei kasztanami sadzonéj. Zwała się Amina, jak mi mówił Timur. I teraz znów pytał, czy pamiętam owę czarnooką Aminę i wreszcie dodał, że Han wielce na mnie łaskaw i pewien, że się mu potrafię wywdzięczyć za to, chce mi dać za żonę piękną sułtankę wraz ze sporym worem złota, wielbładami, końmi i byłem na jój posag przeznaczoném.

Wprawdzie zdarzało się nieraz, że takie sułtanki wychodziły za ubogich mirzów, ale z kąd mnie, nieznanego im przybędę, taki zaszczyt spotkał? Dowiedziałem się potem dopiero, że Edyga bey, chcąc swego posła uczynić znakomitszą na dworze hana figurą, powypisywał rozmaite nieprawdziwe o mnie historie; ale na razie wiedzieć o tém nie mogłem. Musiałem tedy tłumaczyć Timurowi, że dopóty o losie swoim nie stanowić nie mogę, dopóki nie załatwię spraw Edygi beya, który mnie i odpowiedzi wielkiego Hana niecierpliwie oczekuje; przyczém nie omieszkałem dziękować za wysoki zaszczyt, jakim mnie obdarzyć pragną; w duszy jednak myślałem, jakby drapnąć jak najprędzej z tatarskiej stolicy. Jakoż we trzy dni po téj u sekretarza wizycie, siedziałem na wielbłędzie, który kołyszac się niby okręt na morzu, niósł mnie napowrót do mojego pana.

Ucieszony pomyślném poselstwem Edyga bey,

chciał mnie obsypać podarkami, ale ja nic nie biorąc, przypomniałem odrazu uczynioną mi przezeń obietnicę, że otrzymam wolność. Nie cofnął Tatarzyn słowa, chociaż jeszcze próbował mnie zachęcić do pozostania w Krymie; w końcu jednak widząc, że się przy swoim upieram, pozwolił wyruszyć w drogę, dając mi jeszcze małego Leszka i kaletę (sakiewkę) złota pełną.

Co się w duszy mojej działo, tego opowiedzieć nie potrafię. Noc całą przed wybieraniem się w podróż spędziłem klęcząc na modlitwie, a z rana, skoro świt, wyruszyłem do Kaffy! Tam się spodziewałem spotkać z jakim kupcem chrześcijańskim i na okręcie do Wenecyi popłynąć, a potem już łądem do ojczyzny się dostać. Jakoż we trzy dni potem, a była to piękna noc majowa, stałem na pokładzie galery weneckiej i patrzyłem w niebo uhaftowane gwiazd tysiącami, co się zdawały mrugać do mnie radośnie i pozdrowienie z ojczyzny przynosić.

— Ale coś mi się widzi, dobrodzieju mój — ozwał się pan Gozdawa, — że niekoniecznie bliską drogę do kraju sobie obrałeś, przez morze. Przecie Tatarzy nie tamtędy do nas wędrują, a oni pewno dłuższej drogi nie biorą.

— Dla tego to właśnie, panie wuju, ja tą drogą udać się nie mogłem, gdyż wpadłbym pewno w ręce tych rabusiów na nowo, a przytém miałem do spełnienia ślub, przed ojcem Hyacyntem panu Bogu uczyniony w razie, jeżeli mi pozwoli wyrwać się z niewoli pogańskiej; oto miałem odbyć pielgrzymkę do domku Najświętszej Matki Bożej w Loreto i tam krzyżem leżąc, wysłuchać Mszy Ś-tęj pierwszej od czasów mego dzieciństwa. Otóż to Loreto leży nad morzem, we włoskiej krainie i tam mnie kapitan galery naszej wysadzić obiecywał, zanim do Wenecyi dojedziemy. Inaczey się jednak Bogu podobało, jak to zaraz zobaczymy.

XI. Potęga turecka na morzu. — Korsarze. — Straszliwe przebudzenie. — „Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły.“

Nasza galera, zwana Gołębicą, mknęła po fali szybko, chociaż naładowana mnóstwem futer, drogich metali ze Wschodu i ukrytych między tém drogich kamieni, jak się potem dowiedziałem. Niebawem podpłynęliśmy pod Carogród i nie zatrzymując się wcale, wążiuchną cieśniną, Bosforem wpłynęliśmy na morze Marmara. Cudnie się przedstawia z dala ta stolica padyszacha ale serce mi się ścisnęło, że przed stu laty jeszcze ona należała do chrześcijan, że tam, gdzie teraz błyszczą półksiężycy, wznosiły się wysoko złote krzyże kościołów naszych. A świecą i migocą na słońcu

kopuły tureckich meczetów wysoko ponad tą falą modrą, co się rozbija i pieni o skały nadbrzeżne.

Dalęj znów *Hellespont* sławny (cieśnina Dardanelska), i już jesteśmy na morzu, co je Archipelagiem zowią, bo zasiane wyspami, co jak szmaragdy zielenią się rozsypane między Europą i Azją. Mijają nas rozmaite okręty w tęg żegludze, rozmaite na nich powiewają flagi, ale najwięcej tureckich.

Opowiadał mi nasz kapitan okrętu, że żadne państwo w Europie teraz takięj nie posiada marynarki, jak turecka *). Ich admirałowie to ludzie uczeni, co na papierze wszystkie morza i lądy rysować umieją, a jakie mają armaty! To też ich potędze ulegają różne grody i państwa całe. Tu oblegają Marsylią w południowej Francyi, tam znów na wybrzeżach Indyi potykają się ze sławnymi także żeglarzami portugalskimi. Niedawno grozili Rzymowi, w falach Tybru czerpali wodę. Tu znów zdobyli (1523 r.) gród niezwyctęzony na wyspie Rodos, gdzie trzy wieki z górą opierali się im waleczni rycerze Ś-go Jana Jerozolimskiego.

Wszystko mi to opowiadał wenecki kapitan, wskazując palcem na mapie, która przed nim leżała, kraje i miasta przez bisurmanów zajęte; były one poznaczone czerwoną farbą, a tych czerwonych punktów przybywa co rok więcej i więcej, I nasza wenecka flota, mówił kapitan, choć sławna po wszystkie czasy, drży teraz przed Turczy-nem dzikim a łupieżczym! Sam sułtan Soliman Wielki **) puszcza się nieraz na morze. O tym sułtanie także się dziwów nasłuchiłem różnych. I dobrze mi było, żem się w niewoli u Edygi od innych jeńców po włosku był nauczył cokolwiek, bom się mógł teraz rozmówić z Wenecyanami i dowiadywać się rzeczy ciekawych.

A tymczasem noc zapadła i wolniej już posuwaliśmy się, żeby nie uderzyć o skały ukryte pod wodami Archipelagu. Znużony, usnąłem twardo na pokładzie, z głową opartą o jakąś pakę z towarami, a we śnie zdawało mi się, że widzę, jak po fali sunie okręt ogromny i coraz olbrzymieje,

*) Marynarka turecka najświetniejszą była w XVI w. (aż do pogromu pod *Lepantem* 1572); dowódcy jej byli razem korsarzami i tworzyli państwo Berberów, w Afryce Północnej. Turcy nawiedzali wybrzeża Sycylii, Hiszpanii, Francyi i Włoch, paląc miasta a mieszkańców biorąc w niewolę. Admirałowie Solimana śród wojen irozbojów znajdowali czas na naukę, pisali dzieła, wydawali mapy historyczne i żeglarskie; mistrzami byli w dobywaniu miast artylerją swą wyborną. Cała Europa drżała przed nimi.

**) Soliman (1521-66) słynny z mądrości i odwagi: nadał prawa, ogromnemu państwu swemu, rozwinął siłę lądową i morską, odzywał się jak pan do monarchów Europy Tylko Zygmunta I szanował wielce.

olbrzymieje, a na przodzie samym stoi rycerz turecki, także olbrzym w zawoju i podnosi krzywy miecz swój do góry, że aż w obłokach błyszczą, niby półksiężyc srebrzysty. A ten Turek olbrzym na olbrzymim okręcie pędzi wprost na naszą galerę i zgniecie ją pewnie, jak łupinę z orzecha... Serce mi biło gwałtownie, wyciągałem ręce, żeby się bronić, czy zasłonić... wtém straszny huk wstrząsnął mną całym i jak długi runąłem na pokład!

D. c. n.

KRAJOBRAZ SZWAJCARSKI.

Rysunek nasz przedstawia krajobraz Szwajcarski w zimie. W oddaleniu widać górę Ś-go Gotarda, pod którą obecnie przechodzi tunel, otwarty po raz pierwszy d. 1 Lipca r. 1882. Alpy w dwóch miejscach przekopane są na wylot, dwa ogromne tunele, dawniejszy w górze Cenis, drugi w górze Ś-go Gotarda, ułatwiają przebycie łańcucha Alp. Dawniej, jak wiecie zapewne, podróż ta była niezmiernie utrudniona, potrzeba było się piąć na szczytach wysokich, przez cały rok śniegiem pokrytych. W tych to czasach dawniejszych wslawiły się poczciwe i roztropne psy Ś-go Bernarda, hodowane przez zakonników w klasztorze, zbudowanym na górze tego nazwiska. Dziś już te pieski nie mają tam co robić, bo podróżnicy wolą jechać po wygodnych kolejach, ale wspomnienie ich przechowywać się będzie długo w sercach wdzięcznych ludzi.

Kropelki powietrza.

POGADANKA NAUKOWA.

— Co też to ojczulek tak ciekawego czyta? trzeba będzie zapytać — szepnęła Antosia do braci-szka, wskazując na ojca, który był tak zatopiony w jakimś dzienniku, że nie podniósł nawet oczu, gdy dzieci weszły do pokoju.

— Ba! — odrzekł z uśmiechem starszy braci-szek, Leonek — to, co jest bardzo ciekawe dla ojca, może być wcale nie ciekawe dla pańienek.

— A tobie zawsze się zdaje, że ja to już nie rozumiem, na niczém się nie znam, tylko na samych dzieciństwach — odparła urażona Antosia — dla tego, żeś o dwa lata odemnie starszy, to już mnie masz za dziecko.

— Trudno przecież i za dorosłą osobę uważać kogoś, kto się bawi lalką...

— Cóż złego lalka? — przerwała Antosia za-

perzona — ja zresztą wcale się nią nie bawię, tylko ubranie jęj szyję, ażeby się nauczyć kroju. Ale ci chłopcy tacy są śmieszni ze swoją powagą. A ty, czy się nie bawisz piłką?

— To zupełnie co innego — rzekł Leonek, wzruszając pogardliwie ramionami — gra w piłkę to jest rodzaj gimnastyki, to dla zdrowia nawet potrzebne.

— A szycie sukien dla lalki jest nauką krawieczyzny, wcale nie dziecinną zabawką — mówiła Antosia zadąsana — zresztą bawią się przecież i ludzie dorośli.

— Ale nie lalkami...

— Ej proszę cię, daj już pokój mojej lalce.

— No, cóż tam znów za sprzeczka? — odezwał się ojciec, składając dziennik.

— Widzisz, przeszkodziłaś ojcu — rzekł przekorny Leonek.

— Alboż to ja? — odparła siostrzyczka — to ty prędjiej swojemi niemądremi żartami.

— I o cóż to wam poszło? — pytał znów ojciec — wstydzcie się, w waszym wieku, żeby się jeszcze sprzeczkać, jak małe dzieci.

— A toż właśnie o to poszło, proszę ojca — powiedziała Antosia — że on mnie zawsze za małe dziecko uważa. Teraz naprzykład mówiłam, że ojczulek pewnie coś ciekawego czyta w tym dzienniku i że trzeba będzie o to zapytać; a on zaraz po swojemu zaczął się wyśmiewać, jakgdybym to ja już nic nie mogła zrozumieć, ani zajmować się żadną poważniejszą wiadomością z dzienników dla tego, że mam lalkę. A jednak, kiedy nam ojczulek opowiada różne rzeczy naukowe, to ja słucham tak samo, jak i on, i tak samo rozumiem wszystko.

— Leonek źle robi, że się z młodszą siostry wyśmiewa, a ty znów, Antosiu, niepotrzebnie się tak o żarty obrażasz. Lepiej pomówimy o czém rozsądniejszym. Odgadła Antosia; ciekawą bardzo wiadomość wyczytałem w tym dzienniku, a pewny jestem, że i wy z przyjemnością i zajęciem dowiecie się o ważném niezmiernie naukowym odkryciu, dokonaniem przez rodaka naszego.

— A co, a co, nie mówiłam! — wołała dziewczynka, klaszcząc w ręce — opowie nam ojczulek coś przeslicznego, słuchajmy.

— Leonek, który się uczy fizyki w szkołach — mówił ojciec — nie potrzebuje, abym mu tłómaczył, co to znaczy trojake skupienie ciał.

— Ja także to doskonale rozumiem — rzekła Antosia — alboż to ja nie uczę się fizyki z panną Anielą z tój książeczki, co to o niej Kazio pisał w „Wieczorach Rodzinnych”.

— A prawda, że masz Fizykę z Biblioteki matematyczno-fizycznej, wydawanęj staraniem pana Baranieckiego.

— O, ja wiem dobrze, ojczulku, co to jest trojakie skupienie ciał — mówiła Antosia, spoglądając z ukosa na brata — to znaczy, że woda może się ściąć na bryłę lodu, albo wylecieć w powietrze w takich drobniuteńkich kropelczkach pary, że się staje niewidzialną tak, jak i samo powietrze.

— Czyż tylko woda przedstawia się w tych trzech różnych postaciach? — zapytał ojciec.

— No, i inne rzeczy... naprzykład... naprzykład kawa; toż z kawy robią lody, a i para z niej ulatuje w powietrze.

— O, cóż za uczona osoba z naszej Antosi! — wołał Leonek, śmiejąc się do rozpuku.

— No, no, daj pokój żartom — rzekł ojciec — widać jednak, córeczko, żeś nie bardzo uważnie czytała swoją fizykę. Kawa jest w tym razie przykładem najmniej stosownym, ona ma w sobie dużo wody, wiesz przecież, że się w wodzie gotuje. Ale nie potrzebujesz szukać żadnych przykładów, bo lepiej jest powiedzieć po prostu, że wszystkie ciała na świecie mogą tak samo, jak woda, przybierać trojaką postać: brył stałych, cieczy, rozlewających się, i gazów, wzlatających, jak powietrze, i niewidzialnych dla oka. Ta zmiana stanu zawsze jest skutkiem oziębienia lub rozgrzania. Woda zastyga w zimie, paruje w czasie upału. Ale jedne ciała potrzebują więcej ciepła lub zimna do tego, aby postać swoją przemienić, a inne daleko mniej. Wszak znacie rtęć?

— Tę, co jest w termometrze, co się także nazywa żywym srebrem? — pytała Antosia.

— Tak. Rteć jest metalem w stanie ciekłym tak, jak woda, i dla tego rozplywa się, zbiera w okrągłe kropelki, które się poruszają z łatwością, z kąd nazwa żywego srebra. Rteć nie zamarza w najcięższe mrozy u nas, gdy woda od dawna już wszędzie w lód się zetnie, ale w krajach podbiegunowych, w czasie nadzwyczajnego zimna, zastyga w twarde bryłki i w termometrze się poruszać już nie może. Więc tam podróżnicy zwykle zabierają z sobą termometry, w których jest w miejscu rtęci wyskok, alkohol, bo ten do tego czasu nigdy jeszcze nie zamarzał przy najsilniejszych mrozach.

— Aż do tego czasu? — powtórzył Leonek — a czy w obecnym czasie już zamarza?

— Dowiesz się o tém za chwilę — mówił ojciec — bo to właśnie należy do tej wiadomości, którą czytałem w dzienniku z takim zajęciem. Ale wprzód powiedzmy jeszcze słówko o gazach. Jeżeli wszystkie ciała, bez wyjątku, mogą przybierać trojaką postać, to trzeba przypuszczać, że i powietrze zmienić się powinno w ciecz taką, jak woda, a nawet i w twardą bryłkę.

— Czy naprawdę, ojczulku? nigdy mi to do głowy nie przyszło — mówiła Antosia — bardzo-bym chciała wiedzieć, jak to wyglądać może taki *kawałek* powietrza.

— Tego jeszcze nikt nie widział — rzekł ojciec — ale pan Wróblewski, profesor uniwersytetu w Krakowie, oglądał niedawno gazy powietrza zamienione w widoczne kropelki cieczy, do wody podobnej. Sam bowiem odkrył sposób dokonywania tej zadziwiającej przemiany. Właśnie też o tém znakomitým odkryciu rodaka naszego czytałem w tym dzienniku. Jeżeli rtęć potrzebuje nadzwyczajnego zimna, aby ze zwykłego stanu ciekłego przejść w stały, to powietrze musi być jeszcze więcej oziębione, ażeby przeszło w ciecz ze stanu swojego gazowego. Takiego straszliwego zimna niema na naszej ziemi. Nigdzie przecież, nawet pod biegunami, nie słycać, ażeby powietrze zlewało się w kropelki. Tu jednak trzeba dodać, że oprócz obniżenia temperatury jest jeszcze inna przyczyna, która może wpłynąć na przemianę ciał lotnych w ciecz, a cieczy w bryły stałe, a to silne bardzo ściskanie. To wyrażenie, używane w fizyce, trojakie skupienie ciał, ma znaczenie bardzo jasne; każde ciało, jak wiecie zapewne, złożone jest z drobniutek, niedojrzanych cząsteczek.

— Wiem, wiem, ojczulku — przerwała Antosia — uczyłam się tego. W bryłkach ciał stałych cząsteczki są zbliżone do siebie i jakby zczepione, w cieczach luźno się rozchodzą, a w gazach to nawet na wszystkie strony się rozlatują.

— Otóż widzisz; można ztąd wnosić, że te cząsteczki przez silne naciskanie mogą się zbliżyć do siebie i skupić inaczej. Przekonano się rzeczywiście, że woda, zamknięta w hermetycznym naczyniu, może się rozgrzać niezmiernie, gdy stoi na ogniu, a jednak rada uie rada parować nie może i utrzymuje się w stanie ciekłym, póki nie rozsądzi naczynia. Wówczas dopiero gwałtownie wylatuje w powietrze i w jednej chwili w parę się zamienia. Para zaś, nietylko przez oziębienie, ale i przez silne ściskanie może być zamieniona w kropelki wody, Otóż i do skroplenia gazów powietrza próbowali już od dawna uczeni obu tych sposobów połączonych, więc wytwarzali zimno nadzwyczajne, aby je oziębić i zarazem ścisкали je bardzo silnie w naczyniach hermetycznie zamkniętych. Pięć lat temu dwaj uczeni, Szwajcar Pictet z Genewy i Francuz Cailletet, jednocześnie gazy powietrza skroplili. W przyrządach, użytych do tego, gazy te na jedną chwilę ukazywały się w postaci widocznej mgły, a w zeszłym roku Cailletet w przyrządzie ulepszonym dostrzegł już nawet wyraźnie kropelki cieczy, jakby gotującej się gwałtownie. Nie mógł jednak przypatrzeć jęj się dokładnie, bo mu

znikała z oczu w jednej chwili i znowu zamieniała się w gaz niedojrzany.

— Chciałbym bardzo zobaczyć taki dziwny przyrząd, jak też to może wyglądać? — rzekł Leonek.

— Z pewnością jakieś rury, rurki, rureczki — mówiła Antosia.

— Rzeczywiście najwięcej tam walców i rur rozmaitych — rzekł ojciec — wszystko to musi być nadzwyczajnie mocne i szczelnie zamknięte, bo w jednych rurkach gazy muszą być nadzwyczaj silnie ściskane, z innych znów potrzeba powietrze zupełnie usunąć i pozostawić w nich miejsce próżne, wypowietrzone, gdzie znów wytwarza się niesłychane zimno.

— Jakże to można wytworzyć zimno, jak ojczulek powiada? Ja myślałam, że ci uczeni po prostu lodu nakładają w swoje przyrządy.

— Nie na wieleby się to przydało — rzekł ojciec — do skroplenia gazów powietrza potrzeba, jak wam mówiłem, takiego zimna, jakiego niema na całej ziemi, a zatem i w lodzie. Wiecie, że gdy termometr wskazuje dziesięć, piętnaście stopni, to już jest mróz silny na dworze. Dwadzieścia stopni mrozu bywa rzadko w naszym klimacie. Woda zaś ścina się w lód, jak tylko rtęć opadnie w termometrze poniżej zera. Do naukowych doświadczeń używa się zwykle termometr trochę od zwyczajnego różny, stustopniowy, jest w nim aż sto podziałek, zamiast ośmdziesięciu, jak w termometrze zwyczajnym. Więc gdy na tym będzie dwadzieścia stopni mrozu, tamten wskaże dwadzieścia pięć stopni. Wyobraźciez sobie teraz, jakie to zimno potrzebne jest do skroplenia gazów, skoro w przyrządzie Cailletet'a termometr stustopniowy wskazywał sto dziesięć stopni poniżej zera. Takiego mrozu niema z pewnością nigdy nawet na samym biegunie.

— Brr! — wołała Antosia, składając rączki — ale, mój ojczulku drogi, zkądże oni wzięli ten okropny mróz, ci uczeni ludzie, kiedy go nigdzie niema? to doprawdy rzecz niepojęta.

— Mam tu w flaszeczce ciecz, zwaną eterem — rzekł ojciec — podaj mi rękę, naleję ci na dłoń parę kropel. Nie bój się, to ci nic złego nie zrobi, no widzisz, cóż się stało?

— Uf! jakież to straszliwie zimne; aż mię dreszcz przeszedł — i Antosia wstrząsała się cała.

— A teraz dotknij flaszeczki — rzekł ojciec — wszak wcale nie jest zimna.

— Prawda, ojczulku; a to czemuż ten eter tak mnie okropnie oziębił?

— Ale cóż się z nim stało? — mówił znów ojciec — toż ręka twoja już sucha, a przecież jęj nie obcierałaś.

— To prawda, w jednej chwili wyschła.

— Ja to już nieraz widziałem — odezwał się Leonek — ten eter tak się szybko ulatnia. Trzeba nawet flaszeczkę szczelnie zatykać, bo wszystkie bardzo prędko uleciałyby w powietrze.

— Otóż to w tém jest cała tajemnica — powiedział ojciec — każde ciało, gdy paruje, przechodzi ze stanu ciekłego w gazowy, wywiązuje zimno, tak zupełnie, jakby chłonęło w siebie ciepło z innych ciał otaczających. Po deszczu zwykle robi się trochę świeżej na dworze, bo woda deszczowa paruje, ziemia wysycha i powietrze się jednocześnie oziębia. Otóż są takie ciecze, a między innymi i ten eter, które parują daleko łatwiej i gwałtowniej od wody, a tym sposobem wywiązują czasem niesłychane zimno. W przestrzeni wypowietrzonej, gdzie zatem powietrze nie przyciska cieczy, one też prędkiej i silniej parują. W przyrządzie pneumatycznym, to jest pod dzwonem wypróbnym z powietrza, woda zimna zaczyna się gotować, jak to zwykle bywa na ogniu, i para ulatuje w górę. Cóż dopiero dzieć się musi z takim eterem. Przy tém gwałtowném parowaniu powstaje nadzwyczajne zimno. To też są takie przyrządy, w których można tym sposobem wśród lata zrobić lód sztuczny z wody. Ten sam Pictet z Genewy, co to skroplił gazy przed pięciu laty, wymyślił wyborny przyrząd podobny, w którym się wyrabia tak ogromna ilość lodu, że można nim znaczny handel prowadzić. Wyobraźciez sobie teraz, że w takiej przestrzeni wypowietrzonej umieszcza się naczynko z gazem ściśniętym silnie, a następnie wlewa się tam cieczy parującej gwałtownie. Takie się tam wywiąże straszliwe zimno, że rtęć w termometrze opadnie poniżej zera na sto przeszło stopni.

— Teraz już rozumiem — rzekł Leonek — to okropne zimno musi nawet i gaz zamrozić, przynajmniej na ciecz, a gdyby można było jakim sposobem jeszcze większe zimno zrobić, toby może powietrze zastygło na twardą bryłkę.

— Ów Francuz Cailletet — mówił dalej ojciec — nie wypowietrzając nawet swojego przyrządu otrzymywał temperaturę 110 st poniżej zera. Umieszczał w téj oziębionej przestrzeni tlen, jeden z gazów powietrza, ściśnięty nadzwyczaj silnie, ale nie mógł go jeszcze tym sposobem skroplić. Brał się więc na inny sposób, otwierał nagle naczynko z tlenem, gaz rozpręzał się z nadzwyczajną gwałtownością, a to rozprężanie, tak samo, jak każde parowanie, wywiązywało także zimno. I wtenczas to na jedną chwilkę widziano w naczynku kropelki cieczy wzburzonej, jakby wrzącej. Pan Wróblewski, profesor uniwersytetu krakowskiego, widział te doświadczenia w Paryżu, a powróciwszy do rodzinnego miasta, przygotował sobie także potrze-

bny do tego przyrząd, ale naczynie z tlenem umieścił w przestrzeni wypowietrzonej jaknajstaranniej. Wówczas nalał tam etylenu, cieczy łatwo parującej, podobnej do tego eteru, i termometr spadł nagle na 136 st poniżej zera. Straszliwe to zimno wystarczyło nakoniec do skroplenia tlenu i pan profesor Wróblewski najpierwszy obaczył tlen na dobre już skroplony, to jest w ciecz zamieniony; nie potrzebował go już nawet tak nadzwyczajnie ścisnąć, zimno przy niezbyt silnym ciśnieniu wystarczyło do tego zupełnie. Tymże samym sposobem skroplił on potem i inne gazy, a nakoniec

szę się także bardzo, że Leonek nie zgadł, bo nie tylko jego, ale i mnie ta wiadomość bardzo zajęła i zrozumiałam wszystko doskonale, a lalka nic a nic mi w tém nie przeszkodziła.

— Tylko bez sprzeczek, dzieci, bardzo proszę, — mówił ojciec.

— O, to tylko żartem, ojczulku, my się nigdy naprawdę nie sprzecamy.

M. J. Z.



Krajobraz szwajcarski (str. 406).

umieścił w tém strasznym zimnie wyskok i ten zastygł na twardą bryłkę.

— Aha! to dla tego ojczulek mówił, że dotąd jeszcze nie zastygał wyskok, a teraz już zastyga — mówiła Antosia.

— Jakże to dobrze, że to nasz rodak wyprzedził w tak ważnym odkryciu Francuzów, Niemców i wszystkie w świecie narody; cieszę się z tego niezmiernie — mówił Leonek, podnosząc głowę z taką dumą, jakgdyby on sam w części przyczynił się do wielkiego dzieła, dokonanego przez pana Wróblewskiego.

— I ja się tém cieszę — rzekła Antosia, a cie-

PAMIĘTNE CHWILE.

Dnia 28 Czerwca 1325 r. Gwarno, wesoło w Krakowie, w świątyniach Pańskich brzmiały dzwony uroczyście, na ulicach tłoczno, ludno, turkocą kolasy, cisną się piesi, bo też to dzień niezwykły, dzień uroczysty dla starego grodu; w mury stolicy ma zjechać przyszła małżonka królewicza Kazimierza, syna Łokietkowego, w dniu dzisiejszym na zamku wawelskim odbyć się mają zaślubiny królewskiej pary. Już młodziuchny Kazimierz z orszakami dworzan naprze-

ciw narzeczonej wyjechał, już sala godowa w zamku przybrana na przyjęcie dostojnych gości, a stary król przechadza się po niej w zadumie, a dworzanie ciekawie patrzą przez okna, radziby jak najprędzej powitać przyszłą panią, a lud się niecierpliwi na ulicach!...

Wtém dzwony głośniejsze się ozwały, na ulicy wiodącej do zamku podniosły się obłoki kurzawy i ze stu tysięcy piersi wyrwał się okrzyk jeden, wielki, radosny: „Jadą już, jadą!” Jakoż w istocie z poza szarych obłoków wyłoniły się niebawem kolasy wspaniałe; w pierwszej, złocistej, paradnej, widać młodzieuchną dziewczeczkę, przy niej poważną matronę; to Aldona, narzeczona Kazimierza, córka Giedymina, księcia litewskiego, z nią jej piastunka, której rodzice opiekę nad księżniczką w czasie długiej podróży zlecieli. Tuż za Aldoną, zaraz w drugiej kolasie, siedzi królewicz Kazimierz z panami litewskimi, a dalej jadą jego dworzanie.

Lecz cóż tam jeszcze widać za kolasami? jakiś tłum pieszy dąży: starcy, kobiety i mężczyźni w pielgrzymich ubraniach, z koszturami w ręku tłoczą się, patrzą ku miastu cheiwie, tęskno, ciekawie, oczy ich kroki wyprzedzają; wyczytać z nich można, iż lotem ptaka chcieliby wlecieć w jego mury; że im smutno, i nogi sprostać nie mogą życzeniom serca i wloką się tak leniwie, tak powoli.

Zebrana na ulicach ludność patrzy na te tłumy ciekawie: „Kto oni, po co oni?” pyta jeden drugiego. Wtém jakaś siwa kobieta wyrwa się z szeregu, przeciska przez innych, rzuca ku dążącym pielgrzymom i oplata ręce na szyi jednej z niewiast tam idących.

— Bogna! moja Bogna, siostró jedyna! — woła radośnie.

A za jej przykładem bieży druga młoda, tuli głowę do piersi osiwiałego starca i woła:

— Ojczel! ojczel! poznajesz mnie?

Starzec zwiędłe usta kładzie na jej czole i szepce: „Maryś, to ty!” I coraz ktoś z ludności stojącej na ulicy biegnie do tłumów pieszych i wśród nich kogoś drogiego rozpoznaje.

Te tłumy piesze, za orszakiem Aldony ciągnące, to wszystko dzieci ziemi polskiej; niewolnikami kiedyś zapędzeni byli w lasy Litwy, a dziś wrócili oswobodzeni. Stary Giedymin dał córce w posagu wszystkich jeńców, jakich kiedykolwiek książęta litewscy z Kujaw, Mazowsza, oraz innych naszych ziem podczas bojów uprowadzili i jeńców tych Aldona, jadąc do Krakowa, zabrała ze sobą. Radość ludności Krakowa dochodziła do szaleń; wszyscy ci przybysze, wszyscy ci powróceni wygnańcy, znaleźli zaraz przytułek, dach i chleb zapewniony, bo choć kto rodziny nie spotkał, to

go obcy brali do siebie, prosząc, by mieszkał u nich, póki swoich nie odszuka.

Ślub Kazimierza z Aldoną odbył się nazajutrz po jej przybyciu do stolicy, to jest 28 Czerwca r. 1325, a ważny to był dzień dla kraju, zapewniał mu bowiem silnego sprzymierzeńca w Litwie, która odtąd przyrzekała wspierać i bronić Polskę, zamiast ją najeżdzać, jak to często dotychczas czyniła, powtóre powracał jej znaczną liczbę jeńców, czém podnosił stan materialny kraju, bo jeńcy ci, osadzeni na wyludnionych ciągłymi wojnami obszarach ziemi, podnieśli rolnictwo serdeczną pracą... Był to radosny dzień dla kraju całego; setki matek, żon i sióstr, błogosławiło imię Aldony; ona im bowiem powróciła tych, których już za straconych miały, tych, których niespodziewały się nigdy więcej ujrzeć.

Teresa Judwiga.

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

XXII.

Rozstanie.

Cały dzień przebyli tak na wysepce nasi młodzieńcy. Nie było obawy, aby woda ich uniosła, bo rzeka, wezbrawszy zrazu, teraz opadła szybko.

Słońce południowe piekło ich jakby ogniem. Położenie stawało się nie do zniesienia.

— Czyliż pozostaniemy tu na drugą noc? — krótko spytał Henryk.

— Lękam się tego — szepnęła William.

— A jutro? co będzie? — spytał Arend. — Czyliż na jutro możemy się czego lepszego spodziewać niż dziś.

— To prawda — rzecze William — trzeba koniecznie wyjść z tego piekielnego położenia.

— A gdyby — rzekł Henryk po chwili namysłu — jeden z nas puściwszy się z biegiem rzeki wyszukał miejsce możliwe do wdarcia się na brzeg, a wdarcie się, przyszedł tu wybrzeżem i rzuciłby nam z brzegu jedną z tych grubych, wijących się roślin, które ztąd widzę na drzewach. Dwaj inni pochwycają koniec tej łądygi, jakby koniec liny, spuszcza ją po niej na brzeg, i będziemy ocaleni.

— Dobra myśl — zawołał Arend — ale który ją wykona? ja jestem gotów.

— Przedsięwzięcie to jest bardzo niebezpieczne — mówił Henryk — w każdym razie tu na skale

grozi nam nie mniejsze niebezpieczeństwo: śmierci głodowej.

— Masz słuszność — przyznał Arend — a ponieważ, wybierając z dwojga złego, wolę być pożartym przez krokodyla niż czekać głodnej śmierci na tej skale, więc idę do wody. Jeżeli za trzy lub cztery godziny nie ujrzycie mię na tym brzegu skalistym, to bądźcie przekonani, że mię pożarły krokodyle, albo że głowę roztrzaskałem o skały.

Dwaj inni nie mieli ochoty korzystać z poświęcenia się Arenda, powstała zatem między trzema młodzieńcami wspaniałomyślna walka; każdy dowodził, że jest najlepszym z nich pływakiem, przyczem żaden nie obstawałby tak uparcie w innych okolicznościach. Sprzeczka przeciągała się, a ponieważ czas naglił, postanowili zdać się na los. Los wskazał Henryka.

— Brawo! — zawołał młodzieniec — los nie jest ślepy, skoro wskazuje twórcę pomysłu na jego wykonanie. Żegnajcie! — W jednej chwili, zdjąwszy odzienię, ścisnął towarzyszy za ręce, rzucił się do wody i popłynął jak strzała. Dwaj drudzy ścigali go wzrokiem, ale gwałtowność prądu była tak wielką, że Henryk znikł im z oczu w ciągu nie całych trzech minut.

Dwie godziny upłynęły dla pozostałych na skale w niespokojnym oczekiwaniu, dwie następne w trwodze śmiertelnej.

— Noc się zbliża — rzekł Arend — jeżeli o zmierzchu Henryk się nie ukaże, popłynę za nim.

— Tak — potwierdził William — korzystajmy z reszty sił; jeżeli popłyniesz i ja popłynę z tobą. Czy prędko zamysłasz wyruszyć?

— Niezadługo; Henryk płynął szybko, ujrzymy go więc za godzinę najdalej na brzegu... lub nigdy.

I znów upłynęła godzina, a Henryka nie było widać.

— Ty zostań, Williamie, ja sam popłynę! — mówił Arend.

— Nie — odrzekł młody myśliwiec — razem popłyniemy. Zdawało mi się zrazu, że nigdy w życiu nie rostanę się z moją strzelbą, ale teraz muszę to uczynić. Nie powinniśmy ani chwili dłużej czekać. Czuję się słabszym z każdą godziną.

Dwaj towarzysze zdejmowali buty, przygotowując się do pływania, gdy dźwięk znanego głosu doszedł ich uszu. Postać Konga na koniu przemknęła wysoko na wybrzeżu, wprost nad skałą.

— Uspokój się, panie Williamie! zaraz powrócę! — krzyczał Kongo, znikając w pełnym biegu. Hałaśliwe chrapanie słonia zahuczało w tejsze chwile, wyjaśniając dostatecznie ucieczkę Konga.

— Święty Boże! — zawołał Arend — dokądże mamy tu jeszcze czekać!

— Tylko do jutra, jak sądzę — rzekł William. — Kongo pośpieszył do obozu; nie może powrócić przed rankiem.

— Czyliż odjedzie, nie poprobowawszy nawet przyjść nam z pomocą?

— Cóż może uczynić? Nic. Wie o tém i jedzie po pomoc. Sam jeden nie może zabić słonia. A choćby i nie było słonia, to jakżeby nam Kongo mógł dopomódz? Ze dwadzieścia metrów jest ztąd do brzegu. Za pomocą sznura moglibyśmy się tam dostać. Te rośliny zastąpiłyby sznur, ale Kongo roślin nie zauważył. Spozstrzegł tylko jednym rzutem oka całą trudność naszego położenia i śpieszy po pomoc.

— Ha, — rzecze Arend — a więc mniejsza o nas, potrzeba nam już tylko trochę cierpliwości. Ale biedny Henryk!..

William nic nie odpowiedział. Tem milczeniem dał do zrozumienia towarzyszowi, że nie miał już wielkiej nadziei obaczenia Henryka przy życiu.

Słońce skłaniało się zwolna ku zachodowi i wkrótce noc ciemna zapadła znowu. Gdyby nawet nie głód dotkliwy, to sam niepokój nie dałby zasnąć ani na chwilę naszym młodym myśliwym. Wody mieli podostatkiem, chociaż nie bez trudności przychodziło ją dostawać, schylając się ze skały spadzistój i czerpiąc ją wypróznionym rogim od prochu.

Nowa jutrzienka zabłysła. Słońce czerwone weszło tém płomienistsze, im wyżej się wznosiło na wypogodzonem niebie. Pozostawało zaledwie kilka godzin oczekiwania. Ale, czyliż powrót Konga był rzeczywiście pewnym? Jeżeli gdzie, to w puszczech afrykańskich niczego w takim razie pewnym być nie można. Okoliczności nieprzewidziane na każdym kroku stają na przeszkodzie zamysłom ludzkim. Czy Kongo dostanie się do obozu? Co do Henryka, już w tej chwili prawie pewni byli, że go spotkało jakieś nieszczęście, śmierć może.

Jakby dla potwierdzenia tej myśli, zjawiły się przed nimi trzy krokodyle. Pływając na około skały, i patrząc na stojących na niej ludzi, zdawały się spokojnie, a na pewno oczekiwać chwili, w której ta zdobycz spadnie w ich okropne paszcze. Na ten widok krew zawrzała w żyłach Williama; los Henryka stanął mu w całej swój okropności przed oczyma. Ale wszakże toż samo podobno czekało jego i Arenda. Chwycił strzelbę, wysypał z niej proch zamokły, nasypał świeżego i strzelił do jednego z potworów, mierząc prosto w oko. Na huk wystrzału, potwory hałaśliwie dały nurka. Krokodyl traiony wyskoczył, stając prawie pion-

wo po nad powierzchnią wody, potem opadł i począł kręcić się w kółko gwałtownie, obryzgując pianą patrzących na skon jego myślicców. Dwa inne potwory uciekły szybko w dół rzeki. Spoglądając za nimi, mimowoli znów obaj młodzieńcy pomyśleli o Henryku i zadrżeli.

Cóż się stało z Henrykiem? Pójdźmy za nim, a dowiemy się o tém.

XXIII.

Z deszczu pod rynnę.

Wskoczywszy do wody, Henryk nie potrzebował się bardzo wysilać. Lekkie poruszenie członków wystarczało, aby go utrzymać na powierzchni, a gwałtowny prąd unosił go szybko. Potrzeba mu było upatrzeć miejsce, gdzieby brzeg był przystępnym, a prąd o tyle wolniejszym, by się dał przezwyciężyć. Przepłynął obok kilku skał niebezpiecznych, uniknąwszy ich tylko przypadkiem, gdyż siła prądu zupełnie mu swobodę ruchów odejmowała.

Niezbyt daleko od miejsca, gdzie pozostawił przyjaciół, Henryk ujrzał brzegi zniżające się znacznie i usiłował zbliżyć się ku nim, ale gwałtowność prądu nie zmniejszała się wcale, Henryk walczył z nim całą siłą, ale nadaremnie. Ta nadzwyczajna szybkość wtedy dopięro nasunęła mu myśl o niebezpieczeństwie, jakiego przedtém wcale nie podejrywał. Dotąd wszystko szło szczęśliwie. Uniknął ostrych skał, nie spotkał krokodyli. Ale czuł, że woda płynie po gruncie dziwnie pochyłym, a w oddali dawało się już słyszeć coś, co musiało być chyba... hukiem wodospadu. To co w pierwszej chwili przedstawiło się Henrykowi jako przypuszczenie, niezadługo stało się pewnością; wodna fala unosiła go z szybkością strzały ku gwałtownemu spadowi.

Szalonym wysiłkiem Henryk starał się dostać do brzegu w miejscu przystępném. Zdawało się, że dopnie celu. Zaledwo kilka sążni oddziało go od krzaków nadbrzeżnych, prawie ich już dosięgał, był prawie ocalonym, gdy prąd porwał go znowu i uniósł dalej w toń straszliwą. Przy samym wodospadzie sterczał ostry cypel skały, na trzy stopy zaledwie ponad powierzchnią wody, i tam go prąd miał rzucić za chwilę, gdy młodzieniec nagle pochwycił tę skałę i owinał się na nię ramionami z wysiłkiem ostatniej rozpacz. Fala pchnęła go tak, że okręcił się na skale i zawisł ciałem nad samą przepaścią... Pomimo że prąd osłabiony był w tém miejscu, rozbijając się o tę skałę, przecież zaledwo z nadludzkim wysileniem Henryk zdołał wydobyć się z wody i stanąć jedną nogą na boku wystającym śpiczastęj rafy, drugą

na samym jęj szczycie. Spojrzał dokoła; płynąc ztąd od brzegu było to narażać się na śmierć niechybną. Brzeg ten był jednak tak blisko, że w innych warunkach jednym silnym skokiem mógłby był go dosięgnąć, ale nie miał dostatecznej przestrzeni do rozpędu, a skok chybiony mógł go o zgubę przyprawić. Z konieczności więc musiał pozostać nieruchomo w tém niewygodném położeniu.

Godziny upływały; Henryk cierpiał męczarnie nieopisane, czuł odrętwienie w członkach, a nie mógł sobie ulżyć innym sposobem, tylko rzucając się znowu do wody, z ramionami owiniętemi na cyplu skały. Ale po chwili takiego dziwnego od poczynku musiał znów powracać do poprzedniego położenia.

— Niema tu przynajmniej obawy, aby mię krokodyle pożarły — myślał młodzieniec w chwili, gdy wskakiwał do wody, gdyby który nadpłynął nie miałby czasu brać się do mnie, choćby konał z głodu...

Tak przetrwał całą noc. Wraz ze dniem ujrzał znów przed sobą brzeg ziemi zaledwo o kilka stóp oddalony, a tak niedostępny, jakby go całe mile od niego dzieliły. Zdawało się, że los się nad nim znęca najokrutniej. Nie mogąc dosięgnąć brzegu, Henryk zaczął spoglądać w dół, w przepaść. Pochylając się ku nięj o ile mógł, rozważał.. Spad wody miał ze trzydzieści stóp wysokości, pod nim rozciągała się przestrzeń wody prawie stojącej. Czyliż miał się poddać prądowi?..

Gdyby miał spaść tylko w głęboką wodę, nie byłby się długo namyślał. Ale był przekonany, że prąd go rzuci na ostre odłamy skał, i roztraska o nie. Prócz tego zauważył, że dalej poza wodospadem wybrzeża rzeki były znów niedostępne. Trzebaby więc płynąć bardzo daleko, do czego brakłoby mu już sił z pewnością po upadku z trzydziestostopowęj wysokości, nawet w najlepszym razie.

Po namyśle Henryk wyrzekł się więc tego zamiaru.

Mimo tak okropnego położenia, myśl jego nieustannie, uparcie wracała do towarzyszy, pozostawionych także na skale wśród rzeki. Był pewien, że Arend i William popłyną za nim w tę samą straszną drogę, jeżeli jeszcze tego nie uczynili. Może obaj puścili się razem, może fala wyrzuciła ich już tu niedaleko wśród ciemnej nocy? Cierpienia Henryka wzmagały się co chwila. Cierpienie moralne doszło nareszcie do takiej potęgi, że uczuł gwałtowną pokusę opuszczenia rąk, powierając duszę Stwórcy... gdy w tém anielska postać Wilhelminy, jego narzeczonej, stanęła przed

oczyna jego wyobraźni, zdawało mu się, że słyszy głos jej słodki, nakazujący mu cierpliwość i nadzieję.

Henryk usłuchał i czekał.

XXIV.

Ocalenie.

Dwaj towarzysze, pozostawieni na swój skale, czekali także. Byli pewni, że Kongo pośpieszy im z pomocą, jak tylko będzie mógł najprędzej, ale większą część drogi musiał on odbyć nocą, co było rzeczą bardzo niebezpieczną. Ubiegło już daleko więcej czasu, niż potrzebował, aby dobieść do obozu i powrócić. Niepokój ten skończył się przecież. Około południa głosy ludzkie mile zadźwięczały w uszach biednych uwięzionych na skale. Hans, Kongo i Makora, ukazali się na wyniosłym wybrzeżu. Za Makorą szło ze dwudziestu ludzi ze sznurami.

— Gdzie Henryk? — zapytał natychmiast drżącym głosem Hans.

— Nie wiemy — była odpowiedź Williama — popłynął z biegiem rzeki, aby wyszukać przystępniejsze wybrzeże. Lękamy się o niego.

Podczas tej rozmowy, Makora zaprowadził swoich ludzi nieco dalej, gdzie blisko brzegu leżało stare drzewo zupełnie uschłe. Przytwierdzono sznury do tego drzewa i trzymając za nie, zepchnięto drzewo w rzekę. Silny prąd pochwyił je i unosił, ale liczne i silne ręce kierowały niem i wstrzymywały tak, aż zaczepiło się o skałę ową więzienną. Z kocią zręcznością Arend i William wskoczyli na ten most i usiedli na nim, jak na koniu, potem znowu za pomocą sznurków dociągnięto ich do brzegu, i stanęli wreszcie na ziemi z niewymownie przyjemnym uczuciem.

Spostrzegli zaraz ogromnego słonia rozciągniętego bez życia. Potężne zwierzę padło nareszcie pod licznymi kulami, zemsta jego nie zgasła aż z życiem.

Stanawszy na ziemi, umierając prawie z głodu i wycieńczenia, William i Arend nie chcieli przecież dotknąć jadła ani spocząć, lecz niezwłocznie postanowili odszukać Henryka. Z poczuciem własnego bezpieczeństwa przejęła ich tém dotkliwsza boleść, tem straszniejsza obawa o przyjaciela. Nadzieja jest oprócz samolubstwa najwytrwalszym z uczuć ludzkich. Dwadzieścia cztery godziny minęły, odkąd Henryka utracili z oczu, wiedzieli, że cudem chyba mógł być jeszcze przy życiu, a jednak młodzi towarzysze nie tracili nadziei.

Zabrawszy z sobą pokarm, który mieli spożywać po drodze, postępowali wybrzeżem w dół rzeki. Większa część poddanych Makory szła za ni-

mi bardzo niechętnie. Ludzie ci uszli dopiero co ze trzydzieści mil drogi pośpiesznym krokiem, byli więc zmęczeni. Prócz tego, wiedzieli oni dobrze w jaki sposób Henryk opuścił swych towarzyszy, nie mieli więc najmniejszej wątpliwości, iż zginąć musiał. Uczucie serdecznej przyjaźni, które podtrzymywało zapał młodzieńców, nie działało oczywiście na ludzi Makory. Jako krajowcy, znali oni dobrze tę rzekę i wiedzieli o pobliskim wodospadzie, byli więc pewni, iż został uniesiony siłą prądu i roztrzaskany na skalistém łożysku wodospadu i że zwłoki jego popłynęły już do Oceanu.

Uszedłszy z milę, William wystrzelił; wszyscy przystanęli, słuchając ze drżeniem. Echo poniosło odgłos wystrzału daleko wzdłuż rzeki i wnet ozwała się odpowiedź. Mimo odległości, rozróżniono dźwięk ludzkiego głosu. Z okrzykiem radości trzej myśliwi rzucili się naprzód i niezadługo na wołania Hansa: Henryk! Henryk! usłyszano od strony rzeki następujące słowa:

— Tu jestem! Tu chodźcie!

Za chwilę młodzieńcy stanęli na wybrzeżu o kilka stóp zaledwie odległości od tego, którego szukali, i tu dopiero pojęli przyczynę, dla której nie mógł im przyjść z pomocą.

Połączywszy się wszyscy czterej na brzegu, ocaleni już teraz i bezpieczni, młodzi myśliwcy zgłodniali, zabrali się do pochłaniania przyniesionej przez ludzi Makory żywności. Potem powrócili na miejsce, gdzie leżał słoń zabity i tam się zatrzymali na spoczynek. Ale wprzód jeszcze, nim sen ujął znużonych, porozciągawszy się z rozkoszą przy ognisku, wysłuchali opowiadania przygód pocziwego Konga.

Pozostawszy w tyle, gdy panowie pogonili za girafami, Kongo czekał spokojnie ze trzy godziny. Gdy nikt nie wracał, poszedł za śladem myśliwców ale musiał iść wolno z powodu, że prowadził z sobą objuczonego konia. Noc go zaskoczyła w pobliżu zabitej girafy. Nie mogąc nocą kierować się za śladem, musiał pozostać na miejscu do rana. Tymczasem deszcz zatarł ślady, tak że sam Szukaj z trudnością mógł je odszukiwać.

Wkrótce Kongo spostrzegł, że ślady kopyt końskich rozdzieliły się. Poszedł za jednymi z nich, i spotkał konia bez siodła, uzdy, ni jeźdźca. Był to wierzchowiec Williama, który uciekł przed słoniem.

Widząc, że poszedł niewłaściwą drogą, Kongo wrócił do miejsca, gdzie się ślady kopyt końskich rozdzielały i poszedłszy za drugim koniem, dotarł do miejsca pierwszego napadu słoni. Zbliżywszy się wtedy do brzegu rzeki, spostrzegł swych panów stojących na skale. Ale słoń zraniony odpędził go natychmiast od brzegu i zmusił do ucieczki.

Kongo, nie mogąc nic innego uczynić, pośpieszył do obozu po pomoc.

Pomimo z mordowania i wycieńczenia, czterej myśliwi byli tak szczęśliwi ujrawszy się znowu razem, że z razu usnąć nie mogli. Ale Hans i Makora widząc ich znużenie i osłabienie, zaprzestali rozmowy i nakłaniali, aby się starali uspokoić. Wkrótce więc sen błogi ogarnął całe obozowisko.

Dwa konie przepadły bez śladu; była to szkoda wielka, kłeska prawie w obecnych okolicznościach, ale trzej myśliwi, uratowawszy życie, obojętnie patrzyli na tę stratę.

Nazajutrz powrócono na miejsce, gdzie się urządziła owa pułapka na girafy. Facetan mało nie oszalał z radości, ujrawszy swych panów, ale mimo to nie omieszkał im powiedzieć, że i tak jeszcze lepiej wyszli, niż można się było spodziewać, gdy puszczali się w drogę z takim przewodnikiem, jak Kongo.

XXV.

Nocne pomyłki.

Ponieważ jak wiadomo, *hopo* nie mogło być ukończone prędkiej, jak za dwa tygodnie, przeto William postanowił urządzić nową wyprawę myśliwską.

Zwierzyny była wielka obfitość na około obozu, ale wódz Makora stanowczo sprzeciwiał się używaniu broni palnej, aby hukiem nie wystraszać giraf. Mnóstwo ich ukazywało się w niedalekich gajach czułkowych, a spłoszone mogłyby uciec z całej okolicy przed ukończeniem pułapki. Ale William był zapalonym myśliwym, i dla polowania jedynie opuścił domowe progi. Nie mógł więc żadnym sposobem pozostawać przez dwa tygodnie z rękami założonemi beczynnymi. Z Henrykiem i Kongiem udał się tedy na zwiedzenie wybrzeży pewnej rzeki, o której Makora opowiadał, że znajdowała się o trzydzieści mil ztamtąd, w kierunku zachodnio-północnym. Myśliwi spodziewali się w ciągu jednego dnia stanąć na miejscu i byłoby im się to udało, gdyby nie spotkali po drodze stada antylop łosiowatych, za którymi pogonili, co im trochę czasu zabrało.

Rozłożyli się więc na nocleg w odległości pięciu mil od owiej rzeki, wedle obrachowań poprzednich. Nazajutrz puścili się w dalszą drogę, ale ubiegłszy mil piętnaście, jeszcze nie ujrzeli rzeki. O południu spotkali jakiś strumień, wypływający z jeziora, sądzeni więc, że to musi być jakiś przypływ tej rzeki, i że postępując za biegiem tego strumienia dostaną się do niej. Nie śpieszyli się jednak wcale, bo miejscowość, w której się znajdowali, nadawała się wybornie do polowania. Mnóstwo pysznej zwierzyny ukazywało się na około. Wil-

liam chciał zacząć się nocą przy jeziorze, Henryk przystał na to, spętali konie, i puścili je na paszę.

(D. c. n.).

ROZMAITOŚCI.

Najnowszy obraz Matejki.

Czytelnicy nasi znają z opisów zamieszczanych w „Wieczorach Rodziny“ prawie wszystkie dawniejsze utwory naszego mistrza. Dzienniki krakowskie podały wiadomość o nowym obrazie, noszącym nazwę: Sobieski pod Wiedniem, a przeznaczonym na uczczenie trzechsetnej rocznicy odsieczy Wiednia.

Mistrz wybrał chwilę, gdy Sobieski po świeżem zwycięstwie, wśród zdobytych łupów, oddaje Denhofowi list do Rzymu, ze zwiastowaniem dobrej wieści, a wojownicy cesarscy zbliżają się dla oddania pokłonu zwycięzcy.

Rzecz dzieje się na odkrytym polu pod niebem. Sobieski na koniu, prawie w środku obrazu; z tyłu za nim nasze rycerstwo, po lewej stronie zdobyty namiot turecki, z prawej orszak Niemców, przybywający z widniejącego w oddali Wiednia dla uczczenia bohatera. Wszystko w pełnym świetle słonecznym; przejrzystość jesiennego powietrza, kolory silne, światłocień żywy, potężny, całym uroczym majestatem uderza widza, zdumiewające sprawiając wrażenie.

Na niebie tęcza. Nad królem wysoko w powietrzu unosi się gołąb.

Z lewej strony, przy samej krawędzi obrazu, ogromny, przepyszny ponsowy namiot wezyra. Wyżej malownicze wzgórza Kahlenbergu majaczą, jak widma tajemnicze w oddali.

W środku obrazu, na arabskim koniu król tryumfator w błękitnym żupanie z odrzuconym w tył futrem, z bogatą kitą u czapki, ze złotą w rękę buławą, wręcza list kanonikowi Denhofowi, jadącemu do Rzymu z wieścią o zwycięstwie i ocaleniu chrześcijaństwa. Postać króla atletyczna, silna, dobrej tuszy, majestatyczna; oblicze piękne, szczeropolskie, bez wyrazu chełpliwej dumy, ale rozpromienione szlachetną radością wielkiego zwycięzcy w poczciwej sprawie, jaśniejące wzruszeniem godnym oswobodziciela chrześcijaństwa, donoszącego papieżowi o tryumfie krzyża nad półksiężycem. Niecierpliwi się koń pod królewskim jeźdźcem, gniewnie wyszczerzył zęby ku stronie, z kądem orszak Niemców przybywa; koń to zdobyty świeżo, koń wielkiego wezyra, strojny z całym przepychem Wschodu w złoto i drogie kamienie.

Postać wspaniała króla rysuje się na tle stoją-

cych w oddali hufców chorągwi pancernej i husaryi z rozpiętymi do góry skrzydłami, z czerwonymi u kopij proporcami, na których widnieją chorągiewne znaki krzyża.

Obok, przy królu, siedzi na siwym rumaku królewicz Jakób, w francuzkim stroju, z młodzieńczą, ale wypieszczoną twarzą, do francuzkich typów podobną. Z wykwintną uprzejmością wita on z odkrytą głową przybywających z Wiednia dostojników cesarskich. Koń królewicza spuścił głowę, a skurczywszy nogę, chce się uwolnić od muchy, która go w nogę ugryzła; ruch żywo pochwycony z natury.

Przy królewiczu z tyłu młody chorąży na arabskim koniu, którego widna tylko głowa. Urodziwy młodzian w malowniczej czapce trzyma rozwiniętą zuchwale wielką chorągiew, która wraz z orłem białym, wijąc się w powietrznej fali, unosi się wspaniale ponad bohaterską postacią króla. Zapal młodzieńczy jaśnieje z twarzy chorążego husaryi. Dwie te postaci, królewicza i chorążego, zestawione tak blisko, pełną uroku tworzą całość.

Cała prawa strona obrazu przedstawia przybywający konno z Wiednia orszak niemiecki: jedni z nich, śpiesząc, zdejmują kapelusze, inni trzymają w rękę niemieckie chorągwie, ozdobione w zielone wawrzynu wieńce, schylają je na dół ku ziemi, w celu uczczenia króla. Wszystkie są strojne w laury, tylko polska chorągiew bez wieńca.

Najbliższy królewicza z tego orszaku, na dzielnym koniu, rycerskiej postawy mąż, w średniowiecznej zbroiocy ze stali, z odkrytą głową w peruce, z kapeluszem w rękę podniesionym w górę. To książę Karol lotaryngski, dowódca wojsk cesarskich. W rysach twarzy jego, jest jakby wyraz zakłopotania, czy zmieszania; wzrokiem szuka on innych nadjeżdżających w orszaku. Koń księcia z przegiętym karkiem i spuszczoną na dół głową, w malowniczej, jakoby pełnej pokory postawie,

Tuż przy księciu lotaryngskim, z tyłu, również na koniu i w kapeluszu, jego towarzysz, którego wyraziste rysy zdradzają prawdziwego wiedeńczyka. Trzyma on w rękę austryacką chorągiew, pochylając ją przed królem. Spadł z niej wieniec laurowy, na chorągiew Mahometa się zsunął.

Za nim, z widocznym z niecierpliwych ruchów pośpiechem, jedzie konno Staremborg, komendant wiedeńskiej załogi, a dalej w górze za tymże kardynał Wilczek, który, spostrzegłszy tęczę na niebie, wskazuje ją otaczającym go osobom, z podniesionymi rękoma, z twarzą pełną zdziwienia. Przy kardynale, na samym końcu górnej strony obrazu, Hieronim Lubomirski, (który walczył przy księciu lotaryngskim).

Na dole, przy samej krawędzi, z prawej strony obrazu, dwaj szeregowcy, żołnierze ze strzelbami, z których jeden w ponsowym kożusku i w żółtych butach, a drugi z przewiazaną chustką na głowie, opiera się przy kolbie. Żywią zajęci rozmową, patrzą na pakowanie wojennych zdobyczy, które mają być do Rzymu wysłane.

Na pierwszym planie ku środkowi obrazu uderza na dole potężna postać siedzącego na ziemi jeńca, siwobrodego Turka, w ciemno-zielonym chałacie, w turbanie owiniętym u góry przesłicznym perskim zawojem, dzianym z jedwabiu i złota. Rysy grube, z wyraźnym typem wschodnim. Tuż obok niego arab, oburącz trzymający się za głowę z wyrazem pełnym przerażenia, spoglądający na zdobytą przez chrześcijan chorągiew Mahometa. Obok, również w dole obrazu ku środkowi, widny jeszcze trup zamordowanej niewiasty Niemki i zabity Turek w misiurce, którego zapewne w chwili spełnionego mordu dosięgnął oręż mściciela. Wyżej nad nimi, husarz polski, silnej, jak atleta budowy, w kiryście, przepasany skórą tygrysią, zwija wielką chorągiew Mahometa dla wysłania jej do Rzymu. Na czole jego widnieje chlubna blizna.

Nieco wyżej, jedna z głównych obrazu postaci, kanonik Denhof. Twarz w profilu, o przejrzystej, delikatnej cerze, przesłicznych rysach, idealnej niemal szlachetności, pełna niewypowiedzianego uroku.

W tym samym kierunku, obok idealnej postaci Denhofa, nieco ku lewej stronie, widzimy, nie bez myśli umieszczoną w tém właśnie miejscu postać konną „towarzysza buńczuczego“, typ rycerza niezłomnej woli, wiary w siebie, uroczystej powagi i poczucia godności swego stanu. Prześliczna postać! W malowniczej czapce, fantastycznie przystrojonej piórami, przyozdobiony w bogatą tarczę, okrytą drogiemi kamieniami, trzyma on w rękę wspaniały wielki buńczuk na wysokości kopii, z rozpostartem u góry orłem skrzydłem. Przypatrując się z bliska temu buńczukowi, widać wykończenie najdelikatniejszych szczegółów; nawet na powierzchni drzewca widać malowane ozdoby i wyrzeźbienia, z drobiazgową nieledwie wykonaną sumiennością.

Na dole, pośród leżących na ziemi buńczuków, pałaszy i różnej tureckiej broni, usiadł koniuszy koronny, Marek Matczyński, w szamowym kontuszu, o twarzy wyrazistych rysów a pełnej dobroci, z zadowoleniem prawdziwego znawcy przepatruje on zdobytą klingę.

Poczet polskich wojowników dopełniają w górnej części obrazu: hetman polny Mikołaj Sieniawski, w jasno-żółtym kontuszu, w czapce tegoż

koloru, z buławą w rękę, na białym koniu, stojący przy wielkim tureckim namiocie. Obok niego, z rozkazującym wyrazem twarzy, w rycerskiej zbroi, w szyszaku na głowie, ozdobionym piórami, Stanisław Jabłonowski, wielki hetman koronny. Przy nim widna jeszcze głowa w futrzanej czapce; to głowa Atanazego Miączyńskiego, rotmistrza lekkiej chorągwi, a wojewody wołyńskiego.

Wszyscy polscy rycerze na obrazie, to mężowie starsi, młodzieży nie wiele.

Za „towarzyszem buńczucznym“ na prawo, w górze, z twarzą okrągłą, rumianą, w długiej na głowie peruce, w kapeluszu przybranym suto piórami, w długiej kamizeli w paski, widzimy Jerzego III, elektora saskiego, ojca.

Siedzi on na koniu noszącym wyraźne cechy niemieckiej rasy i patrzy na króla. Obok niego, ku środkowi obrazu, Emanuel, elektor bawarski (późniejszy zięć Sobieskiego) przypatruje się z ciekawością, znalezionej z proroczym napisem obrazowi Matki Boskiej *), który mu pokazuje, trzymając w rękę, kapucyn Marco d'Aviano, siedzący na osiołku. Zakonnik ten przedstawia zajmujący typ Włocha, wychudłego, o wschodnich rysach, z długą czarną brodą, z tajemniczym na twarzy piętnem klasztornej żywota, a tuż obok niego umieścił artysta przy Denhofie młodego Dominikanina z twarzą pełną wzruszenia.

Na samém krawędzi obrazu, przy karocy, pakują dwaj służący zegar i różne zdobycze, które ks. Denhof ma zawieźć do Rzymu.

Zadanie konikowe.

(Michasia M.).

Sko	bie	far	kę	pieśń	trze	czy	bną
knęł	czy	wro	za	czek	miar	na	zde
w dro	dy	w gle	mi	po	czku	dro	o
o	gdz	tał	na	nek	zie	gnia	nie
chło	bac	wo	by	pro	kój	ziar	wa
jak	związ	dła	spo	dę	ne	hła	w śwem
skrzyn	o	si	sisz	czy	co	śpie	wro
u	ł	o	dła	dła	sko	czku	o

*) O tym obrazie podaliśmy wiadomość obszerniejszą w opisie Nieświeża, w N-rze 12 „Wieczorów Rodziny“.

Łamigłówka zgłoskowa (M. B.).

Z następujących zgłosek: a—a—al—bra—e—gi—ger—ham—ka—kro—mar—man—mi—hi—no—pol—raz—ry—ri—za— ułożyć ośm wyrazów: 1. Moneta. 2. Twierdza starożytna. 3. Góra w Europie. 4. Przysłówek. 5. Pałac w Hiszpanii. 6. Rzeka w Afryce. 7. Imię biblijne. 8. Bóstwo perskie. Pierwsze i końcowe litery, od góry do dołu odczytane, utworzą nazwę rośliny i farby, która się z niej wyrabia.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Z a g a d k i:

Długosz (Osmunda regalis) piękna paproć europejska, o kłębie poziomym, bulwiasto pona-brzmiewanym, z listowiem na 2-4 stóp wysokim, podwójnie pierzastém, owocem w wiechy groniaste zebranych i na osobnym trzonku osadzonym. Rośnie od Czerwca do Września po bagnistych wrzosowiskach i gruntach torfiastych leśnych w całej Europie. Różne części tej paproci były używane w medycynie.

Łamigłówki kryształowej:

K
K O T
K O C I E
K U C H N I A
S A N T A N D E R
K O C H A N O W S K I
K A R P O W I C Z
K R A W I E C
Ł A S K I
O K O
I

Odpowiedzi od Redakcyi.

Wandzi i Luci z Czabanówki. Rs. trzy dla biednej wdowy odebraliśmy. Obecnie ma ona już dostateczny fundusz na założenie straganu dzięki dobremu sercu naszych czytelników.

Adasiowi Kr. w Zakopanem. Dziękujemy za korespondencję której oczekiwaliśmy już oddawna, w przyszłym numerze dłużej pisać będziemy.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



Andziulka poprawiona.

Andziulka była bardzo dobrą dziewczynką, usłużną, grzeczną, tylko jedną miała wadę, nie bardzo rzadką między dziećmi, a to taką, że okrutnie nie lubiła książki i nauki.

Aż raz zobaczyła Andzia w menażeryi, jak uczony piesek pudel pokazywał łapką żądane litery abecadła. Andziulka tak się tym widokiem zawstydziła, że zaledwo wróciwszy do domu zasiadła natychmiast do książki i tak się pilnie uczyła, że we dwa tygodnie

znała abecadło dziesięć razy lepiej niż biały pies z menażeryi, a w parę tygodni później umiała naprawdę dobrze czytać, czego nigdy żaden pies nie potrafi.

KTO LEPSZY.

— Ty będziesz konikiem, a ja zaś furmanem,
Bo twój ojciec biedny, a mój wielkim panem;
Twoja matka szyje i ciągle haftuje,
A moja w salonie z książką wysiaduje.
Ja jadam pasztety, cukierki, ciasteczka,
Dla ciebie przysmakiem jest pszenna bułeczka;
Ja codziennie noszę suknię inną, nową,
A ty latem, zimą, kurtkę granatową...
Zbytek łaski tobie wtedy okazuję,
Gdy się bawię z takim, co deski hebluje...

* * *

Lat przeszło niewiele, ale cóż się stało?
Za dumę panicza niebo ukarało.
Každy go nie lubi, starannie unika,
A Staś na zacnego wyrósł robotnika.

Marya Ciszwicka.

KTO DRUGICH STROFOWAĆ BĄD,

NECH SIĘ WŁASNYCH STRZEŻE WAD.

Obrazek sceniczny w jednym akcie.

OSOBY.

CELINA.

TOLA.

NIUNIA.

MAMA.

PANNA EMILIA lalka.

Scena przedstawia pokój, w którym na oknie czy gdziekolwiek musi być dużo kwiatów, i klatka z karnarkiem sztucznie zrobionym z włóczki. Na stole książki i karafka z wodą. Celina, Tola Niunia bawią się z panną Emilią. Mama wchodzi, ubrana jak do wyjścia.

MAMA.

Wychodzę do téj choréj pani tu obok, wiecie. Jesionowska będzie tu szyć w drugim pokoju, a wy bawcie się same grzecznie i zgodnie tak, jak ja najbardziej lubię. Niech Celina nie rozrzuca wszystkiego po pokoju, jak ma zwyczaj, niech Tola nie tłucze nic i nie broi po swojemu, a na Niunię wy dwie starsze zważajcie i opiekujcie się nią, jak starszym siostróm przystoi.

DZIEWCZYNKI.

Dobrze, proszę Mamy! *(żegnają się z Mamą, która odchodzi).*

CELINA.

No, Mama poszła, nie wróci jak za godzinę, jakże my się teraz będziemy bawić, żeby nic złego nie zrobić i żeby Mama nas pochwaliła za powrotem?

TOLA.

Bawmy się w panie!

CELINA.

Wolałabym w konie... ale to nie przystoi paniąkom, i Mama kazała, żebyśmy były zgodne, więc się zgodzę z tobą, niech będzie zabawa w panie.

NIUNIA.

A ja? a ja? no a ja?

CELINA.

Ja będę panią, panna Emilia będzie moją córeczką, a Niunia będzie boną!

TOLA.

A ja, a ja? no! ja chcę być panią!

CELINA.

Ty... ty, żeby było zgodnie, bądź także panią! Spotkamy się niby w Saskim ogrodzie i będziemy rozmawiały o naszych gospodarskich kłopotach.

TOLA.

W Saskim ogrodzie?

CELINA.

Cóż dziwnego? zrobimy sobie Saski ogród z kwiatów, i już!

TOLA I NIUNIA.

A prawda! wybornie będzie!

(wszystkie dziewczynki zwawo urządzają ogród z doniczek z kwiatami w jednéj stronie pokoju).

CELINA.

Tu będzie wodotrysk *(stawia karafkę w odpowiedniém miejscu w ogrodzie)*. A tu będzie ławka dla pań do siedzenia *(stawia mały stoleczek)*. A teraz trzeba się przecież ubrać za dorosłe panie. W tamtym końcu pokoju na przeciw ogrodu jest mój dom, a tam koło pieca jest dom Toli. A jak my się będziemy nazywały?

TOLA.

A prawda! jesteście dorosłe panie to się musimy jak panie nazywać, ale jak?

CELINA.

Ja będę pani Wysokonoska! a ty pani Małonoska!

TOLA.

Ja nie chcę być Małonoską! ja nie mała!

CELINA.

No, już zgoda! mniejsza o to, będziesz panią Dużanoską.

NIUNIA.

A ja? a ja!

CELINA.

Ty jesteś bona, nazywasz się mademoiselle Sophie Fufut. Prędko ubierać się! Pani Dużanoska, idź do swego domu pod piec i ubieraj się w moje suknie, a ja wezmę spodniczkę Maryni, to będziemy miały suknie powłóczyste.

NIUNIA.

A ja, a ja?

CELINA.

Ty nie możesz mieć sukni powłóczystej, bobyś się potknęła, upadłabyś, zabiłabyś i pannę Emilię i siebie i Mamaby powiedziała, że się niegrzecznie bawimy. Weź pannę Emilię i zabawiaj ją tu w moim domu. *Celina i Tola stroją się za dorosłe panie i chodzą z wielką powagą po scenie, każda w swoim domu.*

(D. c. n.)

PRZYGODY KLARUNI

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską.

(Dalszy ciąg.)

Niedługo też potem nastąpiła pora ustawniczych deszczów, która w Afryce zimę naszą zastępuje i jest hasłem powrotu dla wędrujących gromad. Jaskółki wyruszyły do domu, a nasza mała z wielką pilnością trzymała się już uswięconego zwyczajem planu podróży i nie nęcona więcej żadnymi osobliwościami obcych światów, z nieopisaną radością ojczyznę powitała.

Miłoś to było ujrzeć domowe zacisze, ulubione jeziorko, posłyszec świegot znanych ptasząt i dźwięk lubiej mowy. Jaskółka witała wszystko radośnie i powtarzała sobie z uciechą, że wkrótce nastąpi czas jej przemiany nowój; a zatem, że jako wiewiórka będzie mogła pozostać stale w rodzinnym kraju, a nie tułać się tak daleko po świecie.

Niezadługo też oczekiwała chwili, gdy znowu zabłysła świetlana postać dobroczynnej wieszczki, i zwiastowała jej odmienne losy i nowe życie w postaci wiewiórki.

III.

Dzieci znają i lubią wiewiórkę, to zwinne i zręczne zwierzątko, w jakie po spróbowaniu doli rybki i jaskółki nasza Klarunia została przemienioną. Wiewiórka ta miała ciemne futerko, puszysty ogon, żywe latające oczęta i ostre ząbki. Poczwszy się w nowej postaci, sunęła ochoczo w las i wspinając się po gałęziach, zaczęła ogryzać pączki i młodocianą korę drzew. Na noc upatrzyła sobie miejsce w środku spróchniałego pnia starzej olszy i tam wygodne ze mchu i gałęzi zrobiła mieszkanie, tak dowcipnie urządzone, iżby jej deszcz nie zmoczył, ani też nieprzyjazny gość jaki nie naszedł.

Przezorna i skrętna, zajęła się zbieraniem zapasów żywności na zimę; znosiła ulubione orzechy, starannie wybierając pełne ziarna, które umiała rozpoznawać, odrzucając na bok lekkie puste łupiny. Próbowała słodkich jagód i owoców, jakie się zdarzyły, a całe dni kręciła się i biegała po lesie wesoło, uznając znowu, że terazniejsze jej położenie jest najdogodniejszym, i że los wiewiórki jest najszczęśliwszym.

Bo i cóż to za rozkosz tak skakać z drzewa na drzewo, swawolić bezustannie i psocić niezliczone figle, to straszac spoczywające na gałązkach ptaszęta, to gdzieś pod krzakiem przyczajonego zająca. Ten rad, że ma chwilę spokoju przed ścigającemi go zawsze wrogami, a tu tymczasem wiewiórka zatrępoce liśćmi, narobi szmeru i zająca spłoszy, wtedy nie oglądając się nawet, dalej w nogi, umyka, jak to mówią, gdzie pieprz nie rośnie.

Czasem ważyła się ta psotnica na większe rzeczy. Raz śpiącemu pod drzewem myśliwemu ona ze szczytu tego drzewa łupiną z orzecha w sam nos wymierzyła, aż się zerwał, jak oparzony, uchwycił ręką za nos, a drugą za strzelbę, myśląc, że go jaki groźny przeciwnik zaczepia. Lecz nikogo nie było widać; wiewiórka skryła się w gęste liście dębu, myśliwiec pomyślał, że to był sen, i położył się na nowo.

Przecież małej swawolnicy niedość było na tём, żebrała kilka łupinek, a nawet jednego całego orzecha na ten cel poświęciła i gdy znowu oczy zmrużył, cisnęła mu w twarz całą garść dwiema łapkami. Teraz już trudno było przypisywać to sennym marzeniom. Myśliwy miał zadrapanie czoło, spuchnięty nos od silnego ciosu; rozgniewał się więc bardzo i koniecznie chciał dojść przy-

czyny tego, a zobaczywszy orzechy spadające z dębiny, domyślił się, że to figiel wiewiórki, i zapragnął się pomścić. Opatrzył też w około drzewo, lecz dąb był wysoki, a wiewiórka, na samym szczycie przytulona do gałązki, ze strachem spoglądała na obroty myśliwca, odgadując wrogie jego zamiary. Próbował zatrzęść drzewem, ale na to olbrzymiej trzeba było siły. Byłby się wdrapał w pogoni za psotnicą, lecz pień dębu był gładki i wysoki, trudno się było o niego zaczepić, dał więc za wygraną, a tylko odchodząc wystrzelił w górę między gałęzie dębu, i choć nie trafił wiewiórki, jednakże tak ją ogłuszył hukiem i prochem, że o mało co nie puściła się trzymanej łapkami gałązki i nie spadła na ziemię. Ochłonawszy, przyrzekła sobie nigdy nie zaczepiać takich niebezpiecznych przeciwników uzbrojonych w strzelby.

Po tym wypadku, wiewiórka nasza, trzymając się z daleka od ludzi, sądziła, że już niema się czego obawiać. Pewnego razu na sąsiedniem drzewie spostrzegła wesoło skaczącą drugą podobną sobie siostrzyczkę wiewiórkę. Przypatrywała się czas jakiś zwinnym jej ruchom, siedząc sama cichutko, gdy w tém widzi, jak w dziupli drzewa obok rosnącego wysunęło się zwierzę cokolwiek kształtem do jej postaci podobne, lecz znacznie większe. Pokryte było bujnie ciemnopłowym futerkiem i miało wyraz oczu bardzo podstępny. Był to *tumak*, kuna leśna, najnienawistniejszy wiewiórki nieprzyjaciel.

Nasza mała zdrętwiała ze strachu zobaczywszy tę okropną istotę; lecz *tumak* nie spostrzegł jej wcale, bo całą uwagę zwrócił ku tamtej drugiej, która swobodnie igrając i skacząc po gałązkach, nie przeczuwała wroga. Cicho a niezmiernie szybko sunął ku niej, a gdy zobaczyła go nareszcie i chciała szukać ocalenia w ucieczce, on zwinniejszemi skokami doścignął biedaczkę i z wielką zawziętością natychmiast zamordował, gryząc ostremi, silnemi zębami.

Nasza znajoma, przerażona do najwyższego stopnia, nie była w stanie przypatrywać się tej wstrętnej uczcie. Zebrawszy wszystkie swe siły, rzuciła się do ucieczki. Postanowiła opuścić te strony, zostawić wygodne mieszkanie, pracowicie zebrane zapasy orzechów, a szukać schronienia gdzieindziej. Skacząc z jednego drzewa na drugie i przebiegając po ziemi, uciekała co siły, aby dalej, aby jak

najprędzej oddalić się od straszego nieprzyjaciela.

Nieraz w czasie tej uciążliwej podróży głód wielki dokuczał biedaczce, szczęśliwa gdy gorzkim, niesmacznym owocem żołądki pokrzepić się mogła. Gdy zaś nareszcie zatrzymała się w oddalonej stronie lasu, to nie znalazła wcale leszczyzny i wypadło skwitować z ulubionych orzechów. Wprawdzie rosły tam wielkie drzewa bukowe i była obfitość buczyny, którą tamtejsze wiewiórki chętnie się raczyły; ale nie było to już tak smaczne.

Po jakimś czasie zapragnęła zmienić jeszcze miejsce pobytu. Podążyła więc ku brzegom lasu i wysunęła się na pole. Tutaj wnet była spostrzeżoną przez pasterzy, pilnujących trzody i powitana okrzykami:

— Wiewiórka, łapaj, łapaj!

Ze wszystkich stron puścili się za nią swawolni chłopcy, a widząc, że jej doścignąć nie mogą, obrzucili kamieniami. Pokaleczona, zboliała, zaledwo dopadła do lasu, i wdrapawszy się na drzewo, zaczęła rozpatrywać okolicę.

(D. c. n.)

Zagadka.

I rzy i bryka,
Jest uciechą chłopczyka,
Czy żywy, czy udany,
Zawsze pożądanym.
Co to jest? zgadnie rad,
Každy, kto ma pięć lat.

Konik

Łamigłówna kryształowa.

(Wincentynki S).

1. Współgłoska.
2. Rodzaj kleju.
3.
4. Zwierz drapieżny.
5. Współgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę rzeki w Polsce.

Rozwiązania do Nr. 24-go

Zagadki.

Róża.

Łamigłówny kryształowej:

	W				
	L	I	A		
W	I	S	Ł	A	
	C	Ł	O		
		A			